



ZBIGNIEW ZBIKOWSKI  
TRANSPRUSSIA

The book cover features a large, close-up, high-contrast image of a man's eyes and forehead, looking intensely forward. Below this, a dark, atmospheric landscape is shown, featuring a large, multi-story, dilapidated building with a gabled roof and several windows. To the left of the building is a bare, leafless tree. The foreground is filled with dry, brown grass. The overall mood is dark and mysterious.





SAGA  
EGMONT

ZBIGNIEW ZBIKOWSKI  
**TRANSPRUSSIA**

Zbigniew Zbikowski

# Transprussia

Saga

*Transprussia*

Zdjęcie na okładce: Shutterstock  
Copyright © 2013, 2021 Zbigniew Zbikowski i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726829297

1. Wydanie w formie e-booka  
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów  
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą  
Wydawcy oraz autora.

[www.sagaegmont.com](http://www.sagaegmont.com)  
SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

**Jestem jak żółkły liść** upadły na powierzchnię stawu.  
Płynę, dokąd wiatr poniesie. Ciągną się za mną niewidoczne ślady, rysowane ruchem powietrza obrazy na wodzie.  
Spadające znikąd krople tkają na nich koronkowe rozety.  
Miękkie fale unoszą się rytmicznie i gasną. Nim znikną, czyjaś czuła pamięć je dostrzega i utrwała. Czyjaś pamięć je we mnie ożywia.

**Budzę się w bieliźnie** w wąskim łóżku, z lewą dłonią pod głową. W ramieniu czuję nieprzyjemne mrowienie. Przesuwam rękę, przełamując tysiąckrotne ukłucia pod pachą. Otwieram oczy. Kim jestem? Na krześle wisi czarny mundur, na komodzie leży czapka z trupią główką. Ktoś delikatnie puka do drzwi. Dłoń odruchowo odnajduje pod poduszką rękojeść pistoletu.

- Tak! - wołam. - O co chodzi?

- Panie oficerze, czas na wstawanie - słyszę zza drzwi kobietę mówiącą niezdarnie po niemiecku. - Śniadanie gotowe na stole jest.

Poznaję głos mojej gospodyni. Dwa miesiące temu otrzymała papiery potwierdzające jej przynależność do najniższej klasy narodu niemieckiego. Podnoszę się z łóżka, wciągam bryczesy, zapinam lekko pasek. Koszulę włożę później. Idę do toalety. Rozpinam rozporek. Mocny strumień moczu znika w nowej, niedawno zainstalowanej muszli. Już wiem, kim jestem.

Na krześle wisi mundur wyjściowy. Nie noszę go na co dzień. Ubrałem się weń poprzedniego wieczoru na spotkanie w ścisłym esesmańskim gronie. Mocne przeżycie. Impreza w Kaffee Vaterland z okazji przyjęcia do naszego regimentu nowego członka. Niemieckie jedzenie, niemiecka wódka, niemieckie pieśni. I męskie zabawy. Kto najdłużej utrzyma dłoń nad płomieniem świecy. Kto, przegrywając w siłowaniu się na ręce, nie wyrwie dłoni znad czyhającego na nią ostrza sztyletu. Jednego wieczoru ubył mi tygodniowy przydział kartek żywnościowych. Straciłem też kartki na wódkę. Głowa trochę mi ciąży.

Przydałaby się pełna kąpiel, ale na poranną łaźnię nie mam czasu. Ściągam podkoszulek, myję się do pasa w zimnej wodzie. Przyglądam się sobie w lustrze. Stopniowo tracę młodzieniaškowaty wygląd. Spod gładkiej skóry niegdysiejszego studenta wyłania się dojrzały, zdecydowany



mężczyzna, który wie, czego chce. Nie mam sobie nic do zarzucenia, może tylko wczorajszy zarost. Namydlałam twarz, otwieram brzytwę. Pewnymi pociągnięciami usuwam białą pianę, spod której wyłania się gładka, nieco blada skóra potomka porządnej mieszczańskiej pruskiej rodziny. Na każdym zakręcie niemieckiej historii umiała łapać wiatr w żagle. I robiła na tym swój mały interesik, choćby trzeba było zaprzedać się diabłu. Czy ojciec będzie kiedyś ze mnie dumny, gdy wniosę swój wkład w rozbudowę jego sklepów? Żadnego zacięcia. Po goleniu zaczesuję włosy. Szara koszula, ciemny krawat ze znaczkiem NSDAP, czarna marynarka. Może być.

Do biura policji kryminalnej mam niedaleko, najwyżej pół kilometra. W sam raz na poranny majowy spacer biegnącą w dół, ocienioną lipami Adolf Hitler Strasse. Dziś dobrze by mi to zrobiło. Niestety, na chodzenie pieszo, jeślibym nawet chciał, nie mogę sobie pozwolić. Z okna mojego pokoju na drugim piętrze widzę, jak pod kamienicę po przeciwnej stronie ulicy podjeżdżają samochody, do których wsiadają dwaj najwyżsi rangą funkcjonariusze miejscowego posterunku policji i służby bezpieczeństwa. Nie wypada, żeby Gestapo jeździło samochodem, a kriminalobersekretär z pionu kryminalnego udawał się do pracy na własnych nogach.

Przed dom, w którym Kripo wynajmuje dla mnie pokój, każdego ranka zajeżdża też samochód Luftwaffe, by zabrać na lotnisko mieszkającego pode mną majora Schrödera. Służy w Rippinie od niedawna. Jest zastępcą komendanta placówki wojskowej, w której stacjonuje batalion Pierwszej Dywizji Hermann Göring. Schródera przysłali tu z Holandii z jakąś szczególną misją, o której nie chce mówić. Wiem tyle, że mieszkanie piętro niżej zajął na krótko, dopóki nie wyszykują mu rodzinnego lokalu na osiedlu Neu Heimat.

Jest już właściwie gotowy. Wkrótce ma przyjechać majorowa z dziećmi.

Do ośrodka szkolenia spadochroniarzy Luftwaffe jest ode mnie dużo dalej niż do siedziby Kripo. Mimo to mój Otto zjawia się godzinę po kierowcy Schródera. Widać zaczynam pracę w biurze kryminalnym później niż on służbę w jednostce wojskowej.

Dziękuję gospodyni za śniadanie. Jestem pewny, że niektóre artykuły żywnościowe pochodzą z nielegalnego obrotu. Nie dochodzę prawdy. Grunt, że mi smakuje. W swoim pokoju wkładam do kabury walthera, zapinam marynarkę, zakładam kapelusz oraz czarny skórzany płaszcz. Nie zapinam go i szybko schodzę w dół po drewnianych schodach. Odgłos moich kroków roznosi się po całym domu.

Owiewa mnie rześkie wiosenne powietrze. Otto pozdrawia służbowo i otwiera drzwi samochodu. Odpowiadam niedbale i zajmuję nonszalancko tylne siedzenie. Ci z Gestapo muszą widzieć z okna swojego biura, jak wysiadam z opla. Niech nie myślą, że jak ich jest na posterunku ośmiu i w większości są esesmanami z większym stażem niż mój, w czymkolwiek są ode mnie lepsi. Prawda, że mam niezbyt stary tatuaż pod pachą i kieruję zaledwie trzyosobową komórką, w dodatku, jak cała policja kryminalna w Rzeszy, nie noszę munduru, ale kiedyś przyjdzie dzień, że i ja będę śpiewał z nimi po służbie na całe gardło „Die Fahne Hoch” i podjeżdżał pod biuro służbowym wozem w uniformie SS koloru feldgrau.

Na końcu ulicy, która gładko przechodzi w Adolf Hitler Platz, mijamy kino Palladium. Na ulicznym słupie ogłoszeniowym widzę świeżo nalepiony barwny plakat z piękną kobietą. W oczy rzuca się zwłaszcza jej śmiały dekolt.

- Zwolnij na chwilę - mówię do kierowcy.



Z afisza dowiaduję się, że w naszym kinie wkrótce będą wyświetlać „Die grosse Liebe”. Słyszałem w kawiarni rozmowę, z której wynikało, że to najznakomitszy film o wojnie i miłości, jaki kiedykolwiek nakręcono. I z najlepszą niemiecką obsadą. W rolach głównych pojawili się Zarah Leander i Viktor Staal, a wiem skądinąd, że to są naprawdę wielkie nazwiska.

Byłoby wspaniale pokazać się z tej okazji w kinie z atrakcyjną towarzyszką u boku i zagrać na nosie tym zarozumiałym zabijakom z Gestapo, którym się wydaje, że tu wszystko, co dobre, także najlepsze kobiety, należy wyłącznie do nich. Tylko skąd w Rippinie wziąć atrakcyjną, niezamężną stuprocentową Niemkę? W ostateczności mogłaby być eingedeutschka, chociaż te są przeważnie zajęte. Poza tym nie za wiele ich tu jest i do tego słabo mówią po niemiecku. Z kolei kobiety, z jakimi w ostatnim okresie zdarzało mi się mieć do czynienia, nie należą do kategorii tych, które zabiera się do kina. Przeważnie nie poznawałem ich nazwisk, a jeśli nawet, i tak nie mogły zostać do rana, bo łóżko mam zbyt wąskie.

Każę kierowcy przyspieszyć i podjechać pod największy, przysadzisty i groźny budynek w mieście, gdzie mają siedzibę służby policyjne. Przejeżdżamy obok porośniętego krzewami placu, na którym, jak mi mówiono, jeszcze pięć lat temu stała prawosławna cerkiew, rozebrana przez Polaków. Kierowca zatrzymuje samochód po lewej stronie szerokiej ulicy. Wchodzę szybko do budynku. Wbiegam na piętro, mijam strażnika i kieruję się do swojego biura. Mój asystent, ten, który dopiero co wstąpił do SS, preży się i wyciąga przed siebie rękę.

- Co tam, Hans? - pytam.
- Nic nowego, untersturmführer.
- Jak zawsze.

Co takiego może wydarzyć się w mieście na peryferiach Prus Zachodnich, czym powinno zająć się Kripo i czego by zaraz nie chciało przejąć wtrącające się do wszystkiego Gestapo? Ze sprawą, którą mam właśnie na biurku, będzie na pewno tak samo. Chodzi o zgwałcenie Gerty Schlieske z ośrodka szkoleniowego dla członkiń Związku Niemieckich Panien w Rauschenfeld pod Rippinem. Muszę pilnie tym się zająć, nim Gestapo załatwi sprawę po swojemu.

Siadam za biurkiem, jeszcze raz przeglądam teczkę z dokumentami. Dziewczyna zgłosiła się trzy dni temu na posterunek żandarmerii w Lindenschanz. Zeznała tam, że napadł ją jakiś młody, nieznany jej Polak. Miał rzucić się na nią, gdy szła do gospodarstwa, w którym odbywa praktykę, porwać ubranie i zacząć gwałcić oraz dusić. Ledwo uszła z życiem. Miejscowy szef posterunku żandarmerii, Gross, przeprowadził natychmiast konfrontację. Żandarmi Kulm i Leimann sprowadzili wszystkich młodzieńców ze wsi, Gerta przemaszerowała przed nimi i bez wahania wskazała sprawcę. Zamknęli go natychmiast w piwnicy. Chłopak nie przyznaje się do winy. Gestapo załatwiłoby rzecz raz-dwa, ale że to przestępstwo kryminalne, sprawa trafiła najpierw do mnie. Trzeba będzie jechać na miejsce i przeprowadzić śledztwo. Niestety, nie samemu. Przyjdzie udać się tam wspólnie z tajną policją, która zakwalifikowała zdarzenie jako przestępstwo przeciwko Rzeszy. Ma to swoje dobre strony. Ci z rippińskiego posterunku znają dobrze język polski, przydadzą się jako tłumacze.

Kulm? - zastanawiam się. Mam kuzynów o tym nazwisku.

Szukam informacji, co to za szaleniec, który rzucił się na Niemkę, zdając sobie sprawę, że grozi mu za to śmierć. Aż taki głupi czy aż tak go przypiliło, że nie mógł się powstrzymać? Niecałe osiemnaście lat, powinien być w tym czasie w pracy. Zatrudniony jest w majątku rolnym. Jak

znalazł się o tej porze w tym miejscu? Gerta była w stroju organizacyjnym, nie mógł mieć wątpliwości, z kim ma do czynienia. Ale co ona robiła nad rzeką? Szła tamtędy na skrót do gospodarstwa? Mogła przecież pójść zwyczajnie drogą. Zaraz, jak to mówią złośliwie o dziewczynach z Bund Deutscher Mädel? BDM, czyli Bubi, drück mich. Chłopcze, przytul mnie. To ją przygarnął i przytulił. Tyle że Polak ze wsi takich subtelności nie może znać...

W tym momencie wzrok mój pada na portret Hitlera. Na widok Führera zaraz przechodzi mi wrodzony sceptycyzm. Zmieniam kierunek myślenia. No nie, jak ten brudny Polak śmiał tknąć czystą niemiecką dziewczynę! Jeśli słowa Gerty się potwierdzą, będzie wisiał, bez dwóch zdań. Taki bezczelny atak nie może pozostać bez najwyższej kary. Przypominam sobie ze szkoleń, że niemiecki śledczy w służbie Trzeciej Rzeszy nie może mnożyć wątpliwości, jeśli chodzi o zbrodnię przeciwko narodowi. Powinien prostą drogą zmierzać do celu. Bezwzględnie, bez najmniejszych wahań.

Hans umawia nas z Gestapo, zajmującym pomieszczenia piętro niżej. Oni pojedą swoim służbowym samochodem, my swoim. Do Lindenschanz jest z Rippina jedenaście kilometrów. Będziemy tam w kilkanaście minut.

Wyjeżdżamy szosą na Strasburg. Wóz Gestapo jedzie pierwszy, jakby dla zademonstrowania, kto jest ważniejszy. Gdy wspinamy się po wzniesieniu we wsi Treuengrund, jeszcze bardziej nas wyprzedza. Po paru minutach widzimy z daleka, że tajna policja skręca przed kościołem w boczną drogę. Nigdy wcześniej tu nie byłem. Kierowca informuje mnie, że prowadzi ona do dawnego pałacu Rakowskich. Tam mieści się posterunek Ordnungspolizei. Skręcamy za nimi.

Przed drzwiami posterunku stoi kilku wiejskich chłopaków. Na nasz widok prężą się i gorliwie kłaniają.



Obersturmführer Gramse bez ceregieli otwiera drzwi i wchodzi do środka, my za nim. Żandarmi zrywają się, komendant melduje. Jest nas czterech. Kierowcy zostali w samochodach.

Gross ma inny akcent niż dwaj pozostali. Nauczyłem się już rozpoznawać ich po sposobie mówienia. Komendant został przysłany do Lindenschanz z głębi Rzeszy, jego dwaj podkomendni to miejscowi.

Gramse, jako szef posterunku SD i Gestapo, jest z nas najważniejszy. Przejmuje inicjatywę, pozostali mu się podporządkowują. Mówi, jakie jest nasze zadanie i jak mamy je wykonać.

- Sprawa jest jasna - oświadcza. - Musimy tylko spisać zeznania i podpisać protokół. Nie będziemy zwracać głowy sądowi. My stanowimy sąd doraźny. Na podstawie uprawnień, jakie ma Gestapo, sam wydam wyrok.

Mamy do przesłuchania prawie dziesięć osób.

Jako pierwszą wzywają Gertę. Czekwała w kuchni.

Wchodzi dziewczyna w mundurku BDM, mocno zbudowana, piegowata, z niedługimi, podkreconymi, jasnorudawymi włosami. Gramse pyta o nazwisko i wiek.

- Nazywam się Gertruda Schlieske, mam siedemnaście lat - mówi Gerta, patrząc w podłogę.

- Skąd jesteś?

- Pochodzę z Pomorza. Z Ueckermünde pod Stettinem. Teraz przebywam w ośrodku szkoleniowym w Rauschenfeld.

- Opowiedz, co się stało, tam, nad rzeką - zachęcają Gramse z całą kanciastą łagodnością, na jaką go stać.

- Już to mówiłam panu żandarmowi - tłumaczy się i podnosi wzrok na Kulma. Ten kiwa głową. - Szłam do pracy, do gospodarstwa, gdzie pomagam, mam tam praktykę, i wtedy z krzaków wyskoczył ten chłopak, ten Polak. Przewrócił mnie i zaczął zdzierać ubranie...

Milknie.

- A ty, jak się zachowywałaś? Nie wzywałaś pomocy? - rzucam pytanie.

Patrzy na mnie zdziwiona.

- Jak miałam wzywać? Zatkał mi usta moją chustą, byłam przerażona. Chciał mnie zgwałcić!

- Dobrze. I co dalej? - wtrąca się Gramse.

- Rozdarł mi bluzkę, bił po twarzy...

- Jedną ręką czy obiema? - pytam.

Drugi z gestapowców daje znak, żebym przestał.

Uważam to za impertynencję. Jest niższy stopniem. Nie jest nawet oficerem. Nie zamierzam go słuchać.

- No, jak? - nalegam na odpowiedź.

Milczy.

- Jak się uwolniłaś? - zwraca się Gramse do Gerty.

- Jestem silna. My wszystkie jesteśmy wysportowane.

Mówię o dziewczynach z BDM. Kiedy na chwilę przestał mnie ścisnąć, wywinęłam się, odepchnęłam go i zaczęłam uciekać.

- Gonił cię? - pytam znowu.

- Tak. Nie, chyba nie... nie oglądałam się. Biegłam aż do gospodarstwa państwa Handtke. Kiedy zorientowałam się, że go za mną nie ma, zwolniłam. Powiedziałam pani Handtke, co się stało, i pan Handtke zaraz przywiózł mnie na posterunek, żeby o wszystkim zameldować.

Gramse, w szarym mundurze SS, stoi na szeroko rozstawionych nogach z rękami założonymi do tyłu. Gdyby chłopak, którego Gerta oskarża, był w tej sali, pewnie zastrzeliby go na miejscu.

- Od jak dawna masz tę praktykę w gospodarstwie? - nie przestaję zadawać pytań, które Gramsego wprawiają w irytację.

- U państwa Handtke jestem dwa tygodnie, odkąd ich syn został powołany do Wehrmachtu i poszedł na front.

- I zawsze chodzisz do nich tą drogą nad rzeką?

- Nie zawsze. Do gospodarstw, gdzie mamy praktyki, rozwożę nas po kilka dziewczyn furmanką. Na początku zeskakiwałam z wozu na szosie i dalej szłam pieszo drogą dojazdową. Dopiero później odkryłam ścieżkę nad rzeką.

- I nie bałaś się?

Wzrusza ramionami.

- A tego Polaka spotkałaś już kiedyś czy zobaczyłaś go po raz pierwszy?

Zaciska wargi

- Ja tam się im nie przyglądam. Nie znam żadnego. Jego też nie.

Gramse zniecierpliwiony macha ręką.

- Jeszcze coś? - rzuca ostro, dając do zrozumienia, że nie życzy sobie dalszych pytań. - Jeśli nie, możesz iść.

Gerta saltuje, robi w tył zwrot i zmierza ku drzwiom.

- Czy wiesz - pytam jeszcze, zanim wyjdzie - jaka kara czeka tego chłopaka?

Zatrzymuje się z ręką na klamce, odwraca się ku mnie.

- Jak posiedzi w ciemnicy, odechce mu się napadów na niemieckie dziewczyny - mówi ze złością.

Pokazuję jej, że może wyjść.

- O co chodzi, untersturmführer? - rzuca Gramse w moim kierunku, gdy zostajemy sami. - Sugerujesz, że ona zmyśla?

- Nic podobnego - odpowiadam. - Zadaję pytania, bo chcemy dociec prawdy. Czy nie o to chodzi w śledztwie?

- Kogo my tu jeszcze mamy, zanim przepytamy tego gnoja? - zwraca się Gramse do Grossa, a ten patrzy na Kulma.

Żandarm podaje listę. Gramse czyta ją pod nosem: Handtke, Ostrowski, Hutnik, Boronowski...

- Co oni wiedzą? Widzieli coś? - pyta ostro.

- Byli w pobliżu miejsca zdarzenia - wyjaśnia Kulm.



- Dobra, dawać ich po kolei.

Najpierw wchodzi Handtke. Ma pięćdziesiąt lat, pochodzi z Besarabii, języka polskiego nie zna w ogóle. Dostał gospodarstwo po wysiedlonych Polakach. Wspomina o synu na froncie wschodnim. Relacjonuje, co Gerta powiedziała jego żonie i jak zawiózł ją na posterunek.

Chcę, żeby opowiedział, jak dziewczyna wyglądała, gdy ją tego dnia zobaczył.

- Miała brudny płaszcz, rozdartą bluzkę z wyrwanymi guzikami, podobno jakieś zadrapania. Nie widziałem ich, wiem to od żony. Twarz miała zaczerwienioną, włosy zmierzwiłone...

- Wystarczy - decyduje Gramse. - Następny.

Wchodzi chudy czternastoletni chłopak, mocno wystraszony. Mówi, że nazywa się Tadeusz Ostrowski i dopiero ma zacząć pracę w majątku. Na bosych nogach ma zdarte drewniaki i spodnie uszyte z tkaniny workowej, przewiązane rzemieniem. Wytartą i połataną koszulę nieokreślonego koloru musiało nosić przed nim parę osób. Może ojciec, może straszy brat.

Gramse pyta go, co robił w czasie, gdy doszło do zdarzenia nad rzeką. Nie wyjaśnia mu, że chodzi o gwałt, podaje tylko dzień i porę dnia.

- To tak - mówi młodzieniec, szczypiąc boki spodni. - To wtedy pan Boronowski posłał nas, czterech chłopaków, żebyśmy przekopali ogródek przy domku rybaka, tam, przy stawach. To my wzięliśmy szpadle i poszliśmy. Ale było nas trzech. Stefan miał dojść później, bo pan Boronowski kazał mu przedtem coś zrobić w chlewni, i ja miałem dwa szpadle. I na tych szpadlach szedłem, o tak, jak na szczudłach, ale nic się nie stało, one się wcale od tego nie stępiły...

- Kto to jest Boronowski? - przerywa Gramse.

- To jest pan rządcą - wyjaśnia chłopak, a Kulm potwierdza kiwnięciem głowy.

- A domek rybaka?

- No, to jest taki domek... tam ten pan, co zarządza stawami, ma pokoik, i biuro ma, i taki warsztat...

- Przechodziliście koło rzeki? - pytam z kolei ja.

- Tak, ale się wcale nie kąpaliśmy, nie zatrzymywaliśmy się - tłumaczy się zdeorientowany.

Następuje nerwowo chodakiem na chodak.

- I nikogo tam nie widziałeś? - ciągnę pytania.

Gramse mógłby przesłuchiwać go po polsku, ale regulamin każe prowadzić przesłuchanie po niemiecku, toteż każde pytanie i odpowiedź przechodzi przez tłumacza.

- Nie, nikogo - skwapliwie potwierdza chłopak.

- Podejdz tutaj - mówię do niego i wskazuję biurko komendanta.

Zbliża się ostrożnie. Na biurku leży szkic terenu.

Tłumaczę mu, co oznaczają kreski i symbole na planie, i każe pokazać palcem, jaką trasę przeszedł z kolegami.

Przygląda się chwilę rysunkowi, upewnia się, że podwójna krzywa linia to rzeka, duże prostokąty to stawy, małe to budynki, kółka to drzewa, a pojedyncze kreski to dróżki.

- Zaraz - zastanawia się głośno. - Jeśli domek rybaka jest tutaj, to myśmy szli tak...

Przeciąga czarnym paznokciem po kartce, zatrzymując go przy jednym z prostokątów.

- A ten czwarty z was, co się spóźnił, jak szedł?

- Stefan? No, ja wiem? Chyba tak samo. Tu nie ma innej drogi. Można iść na skróty, ale między drzewami.

Gramse stoi nad nami i przysłuchuje się.

- Ten Stefan, gdy przyszedł później, jak wyglądał?

- Zwyczajnie. Był trochę zziąjany. Musiał się spieszyć.

Pan Boronowski zawsze każe nam skakać na jednej nodze.

Unoszę brwi ze zdziwienia.

- To znaczy szybko biegać - poprawia się tłumacz.

- Mówił coś? - odzywa się wreszcie Gramse.

Chłopak drapie się po głowie.

- Nie pamiętam - duka. - Chyba nic. Wziął szpadel i zaraz zaczął kopać.

Gramse popukuje go po barku trzymaną w ręku linijką.

- Przypomnij sobie dobrze.

- Był może... taki jakby trochę zamyślony, ale nic nie mówił, tylko kopał - zeznaje chłopak, kuląc się po każdym fragmencie zdania, jakby spodziewał się uderzenia.

- Dobra, uciekaj - rozkazuje Gramse i popycha go końcem linijki ku drzwiom.

Dwóch następnych świadków potwierdza jego zeznania. Ten, który miał gwałcić Gertę, z niczego nie zwierzał się kolegom.

Wzywają Boronowskiego. Staje przed nami krępy, czterdziestoparoletni mężczyzna w wysokich butach i kusej marynarce, z zaczesanymi do tyłu włosami. Melduje się poprawną niemczyzną. W ręku trzyma kij. Gramse patrzy na niego spode łba, nic nie mówiąc, tylko z lekka uderzając się linijką po nodze. Do Boronowskiego wreszcie dociera, o co mu chodzi. Odkłada kij na stojący w rogu wieszak.

Mamy do niego jedną sprawę - żeby potwierdził zeznania młodocianych pracowników z majątku, że wysłał ich do domku rybaka, a Stefana Mellera zatrzymał dłużej w chlewni. Boronowski zachowuje się jak wzorowy służbista. Melduje posłusznie i zwraca się do policjantów według ich rang, które bezbłędnie odczytuje z dystynkcji. Tylko do mnie mówi „panie oficerze”.

Gdy wychodzi, Gramse odkłada liniał i woła:

- To dawajcie teraz tego sukinsyna!

Wyjmuje z kieszeni kwadratowe tekturowe opakowanie papierosów „Stambuł”. Częstuje pozostałych i zapala. Nie lubię tych rzekomo orientalnych cygaretek, wolę swoją



markę „Sport”, ale nie odmawiam. Pomieszczenie wypełnia się ostrym błękitnym dymem. Gdy kończymy palić, żandarm Leimann przyprowadza aresztanta. Zapach nikotyny dusi smród piwnicznej wilgoci i niemytego ciała w przeupoconych roboczych łachmanach. Gramse gasi cygaretkę i wyszarpuje z kabury walthera.

- Jak mi będziesz kłamał, wiesz, co cię czeka! - grozi i wymachuje mu przed nosem pistoletem.

Widać, że chłopak rozumie, przerażony cofa się, ale stojący za nim żandarm popycha go do przodu.

- Gadaj, coś za jeden - naciera Gramse.

- Stefan Meller.

- Polak.

- Polak, panie...

- Brudny, zawszony, śmierdzący Polak! A nazywa się Meller. Ile masz lat?

- Skończyłem siedemnaście.

- I już ci dziewczyny w głowie? - wrzeszczy Gramse. - Już cię ogon swędzi? Mało ci waszych kurew, to jeszcze Niemkę gwałcić ci się zachciało?

- Ja... ja nic... nic nie zrobiłem... - Stefan próbuje odpowiadać po niemiecku.

Gramse uderza go z całej siły w twarz, aż chłopak się zatacza.

- Nic?! Gwałt to jest nic? Zbezczeszczenie niemieckiego munduru to jest nic? - Gramse robi się czerwony na twarzy.

- Gadaj, jak to zrobiłeś!

Polak boi się odezwać.

- Pan obersturmführer chce wiedzieć, co się zdarzyło nad rzeką, kiedy spotkałeś Gertę - mówię do niego spokojnie. - Spotkałeś ją?

Kiwa głową.

- I co?

- Było tak. Szedłem do domku rybaka, jak mi kazał pan Boronowski. Jak byłem nad strugą, po drugiej stronie zobaczyłem tę dziewczynę. Ona szła od drogi w dół, do gospodarstwa chyba. I wtedy zaczęła mnie wołać.

- Jak cię wołała? - pytam, nie zważając na Gramsego, który ściska wargi, gotując się do kolejnego wybuchu.

- Po niemiecku. Mówiła „ej, ty, chodź tu”, i machała ręką.

Czuję, że Gramse zatłucze go zaraz gołymi rękoma. Już nie gołymi, bo założył rękawiczki. Podnoszę się z krzesła i staję między nimi.

- A ty, co zrobiłeś? - pytam dalej.

- Nic, tylko stałem i patrzyłem.

- Na co?

- No, bo ona rozpięła bluzę i... i...

- I co?

- I podniosła spódnicę...

Gramse nie wytrzymuje. Wychodzi z za moich pleców i wściekły uderza chłopaka pięścią. Ten upada. Chwyta się za nos i wyciera dłonią ciekącą krew.

- Ty gnoju! Ty polska świni! - ryczy Gramse, a ja czuję, jak się poci pod pachami. - Łżesz! Jak mi zaraz nie powiesz prawdy, to...

Nie kończy, nie czeka, aż jego człowiek przetłumaczy. Chwyta chłopaka za kołnierz i potrząsając nim jak workiem, stawia do pionu. Poleca swoim esesmanom:

- Bierzcie go. Idziemy.

Dwaj policjanci wyciągają Polaka za ręce z posterunku na dziedziniec. Idę za nimi. Chłopak głośno zawodzi, wzywając na pomoc matkę.

- Do wozu! - rozkazuje Gramse.

- Pobrudzi... - oponuje jego esesman.

Chłopakowi ciągle leci krew z nosa. Ma też upapraną krew rękę. Gramse przyzwala, żeby go oporzędzono. Jeden z policjantów woła kogoś z pałacu, by przyniósł wody. Za

moment młoda kobieta przybiega z miską. Chłopak obmywa twarz i rękę, i wyciera się podaną szmatą. Wtłaczają go do samochodu. Jadę za nimi z moim kierowcą. Nie wiem, co Gramse zamierza, ale to on jest tu dowódcą, a jego decyzje nie podlegają dyskusji. Jeśli zechce oskarżonego o gwałt Polaka zastrzelić, nikt go nie powstrzyma.

Samochód Gestapo kieruje się nad rzekę. Wąska droga nagle urywa się i przechodzi w ścieżkę. Stajemy. Wyciągają słaniającego się Polaka. Dalej idziemy pieszo. Po stu metrach zatrzymujemy się nad porośniętą olszynami strugą.

- Tu ją napadłeś? - drze się Gramse.

- Ona szła drugą stroną - wtrącam.

- Gdzie przeszedłeś na drugi brzeg? - atakuje dalej Gramse. - Tutaj, czy w innym miejscu?

Odciągam go delikatnie na bok i informuję cicho:

- Przecież nikt nie zeznał, że miał mokre spodnie.

Drażnienie szefa rypińskiego posterunku Gestapo sprawia mi pewną satysfakcję, ale ma granice. Gdyby Gramse mógł sobie na to pozwolić, ryknąłby także na mnie. Nie jestem jego bezpośrednim podwładnym, mamy jedynie wspólnego szefa w komendanturze w Brombergu. Nie wydziera się więc, tylko chwyta chłopaka za ramię, swoim ludziom każe zostać przy samochodzie, a do mnie mówi:

- Idziemy!

Popycha Polaka przed siebie i znowu wyciąga broń. Wąską i krętą ścieżką schodzimy w głąb parowu. Docieramy na samo dno. Wtedy Gramse chwyta mocno chłopaka za kark i zmusza do patrzenia w górę. Jednocześnie wskazuje pistoletem rosnące na zboczu wielkie buki.

- Wybierzesz teraz sobie jedno drzewo - mówi wściekły głośnym sykiem, a ja ledwie go rozumiem, bo nie tłumaczy

swoich słów na niemiecki. – To jedno, na którym jutro będziesz wisiał.

Młodzian próbuje opanować płacz, ale przerażenie mu na to nie pozwala. Jego kłatką piersiową wstrząsa szloch.

– Chyba że zaraz powiesz, jak to naprawdę było. Jak ją gwałciłeś!

Chłopak pada na kolana.

– Nie gwałciłem, panie oficerze. Nie dotknąłem jej. Ja nie wiem, jak się gwałci... – jęczy.

– Dosyć! – grzmi Gramse i kopie go w tyłek, aż ten się przewraca. – Wstawaj!

Wracamy tą samą ścieżką, którą przyszliliśmy. Dochodzimy do samochodów. Ci z Gestapo wpychają aresztanta do kabiny i natychmiast odjeżdżają. Ja ociągam się z odjazdem. Wdycham głęboko powietrze. Rozglądam się przez chwilę po pokrytej świeżą zielenią dzikiej okolicy, przeciętej głębokim szanćem, wyglądającym z góry jak źle zagojona blizna na gładkim, obniżającym się lekko ku dolinie polu. Jego dnem płynie niewielki strumień. Kiedyś musiała to być hucząca rzeka. Ciekawe miejsce, ale nie mamy czasu na podziwianie nawet najbardziej porywających landszaftów. Myślę sobie, że warto by wpaść tu w spokojniejszej chwili. Wsiadam do auta i ruszamy w drogę powrotną.

Za pierwszym zakrętem, gdy Otto próbuje przyspieszyć, wprost pod koła naszego samochodu wchodzi stara kobieta w chuście na głowie. Pojawia się niespodziewanie, wyłaniając się spomiędzy przydrożnych chaszczy. Jej połatana odzież jest zniszczona do granic możliwości. Kierowca ostro hamuje. Kobieta nie ucieka, nie przeraża się ani nie przewraca. Samochód zatrzymuje się tuż przy niej, zaledwie ją dotykając. Wtedy ona spogląda na nas. Zatrzymuje złe, mocne spojrzenie na moich oczach. Świdruje mnie nim na wylot. Wyskakujemy obaj z wozu.

Otto wyzywa ją od najgorszych. Ona nie zwraca na niego uwagi. Wciąż patrzy w moim kierunku. Chce coś powiedzieć. Wyciąga ramię i wskazuje na mnie sękatym palcem.

- Tu śmierć twoja - skrzeczy po niemiecku. - Tu grób twój.

Odchodzi. Otto zatrzymuje rękę na kaburze i tkwi tak w bezruchu, jakby go zamurowało. Zrozumiałem słowa, które stara wypowiedziała, ale nie pojmuję, o co w nich chodzi.

- Hej! - wołam za nią. - Hej, ty!

Zawraca i robi kilka kroków w moją stronę. Zatrzymuje się trzy metry przede mną.

- Nie wracaj tu nigdy. Nigdy! - powtarza. - Tu grób twój, panie oficerze.

Nie słucha, co mam jej do powiedzenia. Nie interesuje się, co zamierzam zrobić. Odwraca się i znika w zaroślach, skąd przyszła.

- Wariatka - ocenia Otto. - Albo wiedźma. W każdym przypadku należało zrobić z nią porządek. Obraziła esesmana, w dodatku oficera!

Macham ręką. Mamy w tym momencie ważniejsze sprawy. Wracamy do wozu. Podjeżdżamy pod posterunek. Młodszy żandarm prowadzi chłopaka do aresztu w piwnicy. Gramse każe sporządzić protokół z przesłuchania.

Słowa wiedźmy wciąż kołaczą mi się w głowie. Nie mogę pojąć, dlaczego kompletnie zlekceważyła grożące jej niebezpieczeństwo. Mogliśmy zastrzelić ją na miejscu. To imponujące i irytujące zarazem. Niewątpliwie jest chora psychicznie. Otto pewnie miał rację, należało coś z nią zrobić.

Nagle przypomina mi się, co miałem powiedzieć Kulmowi.

- Wie pan, panie wachmistrzu, że mam dalekich krewnych noszących pańskie nazwisko? - mówię do niego,



gdy jeden z gestapowców wystukuje coś na maszynie.

- W tej okolicy jest wielu Kulmów - odpowiada żandarm.

- Różnych. Możliwe, że z którymś z nich jest pan spokrewniony - dodaje nieuprzejmie.

- A z panem nie mogę? - Chcę się upewnić, że dobrze go zrozumiałem.

- Możliwe, że i ze mną - zgadza się niechętnie.

- Ma pan krewnych w Prusach Wschodnich?

- Jeśli zechce pan kiedyś zajść do nas na obiad, możemy o tym porozmawiać.

- Mogę choćby zaraz. Na dziś skończyliśmy robotę, jak mi się zdaje.

Gramse przysłuchuje się naszej rozmowie.

- Idź, idź, untersturmführer - mówi, kładąc mi dłoń na ramieniu. - Może czegoś ciekawego się dowiesz? Może wachmistrz powie ci w zaufaniu, gdzie zakopał skarb Rakowskich... - dorzuca i natychmiast wybucha prostackim rechotem.

Jego funkcjonariusze rechoczą razem z nim. Komendant Gross uśmiecha się niepewnie. Kulm czuje się zakłopotany. Nie śmie protestować.

- Co za skarb? - pytam.

- Żartuję! - odpowiada Gramse i poklepuje żandarma po plecach. Na moment poważnieje, po czym zaczyna z cicha chichotać. - Wszyscy tu wiedzą o skarbie, tylko nikt nie wie, gdzie jest ukryty. Nawet Kulm - dodaje. - Prawda, panie wachmistrzu?

Kulm milczy.

**Dźwięk jak kamyk.** Ktoś powiedział „lalka”. Jej obraz, niczym zielona żaba, która znajduje pod wodą oparcie dla nóg, niespodziewanie wyskakuje z mej pamięci i burzy harmonię wodnych reliefów.

Nigdy przedtem takiej nie widziałem. Jest niepodobna do szmacianych lalek dziewczynek z naszego sąsiedztwa, szytych przez ich matki, ciotki i starsze siostry, z włosami z wełny, wyszywanymi oczami, ubranych w kretonowe sukienki, wypchanych ścinkami materiału albo wyproszonymi od stolarza trocinami. Różni się od pyzatyh lalek Niemek, dorodnych i uśmiechniętych, od umorusanych lalek ubogich Żydówek, ciągniętych za rękę przez piaszczyste podwórka ulicy Targowej. Nie przypomina w niczym lalki Jasi od sąsiadów, która nie przetrwała minionego niedawno lata, skęczonej z dwóch szmatek powiązanych w supły, z domalowaną kredkami twarzą, owiniętej w kawałek materiału udającego sukienkę. Nie ma też w niej nic z pękatej lalki wytoczonej z kawałka drewna, którą ojciec wygrzebał z ruin rosyjskich koszar.

Ta lalka nie jest do zabawy. Siedzi na komodzie w pałacu Rakowskich i obserwuje wchodzących. Czyściutka, pięknie wystrojona, bladoróżowa, z małymi, czerwonymi usteczkami ułożonymi w smutny uśmiech. Ma starannie wymodelowaną twarzyczkę z dużymi oczami i długimi rzęsami. Na głowie ma kapelusz zawiązany pod brodą. Siedzi na komodzie i wpatruje się w osoby stojące przy drzwiach. Jest z czegoś takiego, z czego państwo mają filiżanki. Gdyby ją mocno ścisnąć lub upuścić, stłucze się. To porcelana.

Stoję pod drzwiami z pismem od pana Grabowskiego, naszego nauczyciela. Mam je doręczyć pani hrabinie. Muszę to zrobić osobiście, jak mi przykazał pan nauczyciel, zanim pojechał z Niemcami do Rypina.

Służba nie chce mnie wpuścić. Nalegam, pokazuję, co jest napisane na kopercie, że tylko do rąk własnych. Elegancko ubrany kamerdyner, na którego mówimy między sobą Chudy, wchodzi do pałacu i po chwili pokazuje się znowu. Kiwa na mnie palcem. Wchodzę na ganek, wycieram buty, przechodzę próg. Czuję zapach, jakiego dotąd nie znałem, ani z domu, ani ze szkoły, ani z kościoła, ani z poczty, ani nawet z kina w Rypinie. Może tylko na plebanii wachałem coś podobnego, coś jak jaśmin lub bez pomieszany ze świeżo wypraną pościelą i wyszorowaną podłogą, a do tego z politurą, jaką dziadek przed laty krył meble. I jeszcze coś, czego nie umiem opisać. Jakby zapach dostojności.

Służący staje przy drzwiach, ja nieco z przodu. Czekamy. Z drugiego pomieszczenia wychodzi hrabina: niewysoka, drobna kobieta z wymyślnie upiętymi lekko posiwiałymi włosami, ubrana w długą czarną suknię. Pyta:

- Jak się nazywasz, chłopcze?

Mówię, że Tadek Ostrowski. A wtedy ona:

- A, to ty tak ładnie piszesz. Wspominał mi o tym pan kierownik Grabowski.

Zawstydzona tym, że ona, wielka pani, słyszała o mnie od nauczyciela języka polskiego i kierownika szkoły. Zmieszany, nie wiem, co powiedzieć. Ona daje znak i służący wychodzi. Hrabina wyciąga ku mnie rękę.

- Masz coś dla mnie, prawda? - pyta.

- Pan kierownik kazał mi to dać pani hrabinie. Tylko pani, nikomu innemu. Powiedział, że musi natychmiast wyjeżdżać do Rypina. Przyjechali do niego jacyś Niemcy w mundurach. A ja byłem akurat u pana kierownika. Nie ma szkoły i chciałem spytać, jak teraz będzie z nauką...

Podaję kopertę. Bierze ją, rzuca na nią okiem i mówi:

- Zaczekaj tu chwilę.

Zostawia mnie samego i wraca do salonu.

Nie mogę oderwać wzroku od lalki. Działa na mnie jak magnes: co odwrócę od niej oczy, muszę znowu popatrzeć. Robię krok w jej kierunku i powoli wyciągam ku niej rękę. Chcę jej dotknąć, ale boję się. Chcę się zbliżyć, a czuję się jak ktoś z innego świata, komu wolno oglądać obce sfery, lecz nie może wchodzić z nimi w kontakt fizyczny. Dłoń wolniutko zbliża się do porcelanowej postaci, serce przyspiesza bicie. Czuję się jak złodziej wrażeń. Wskazujący palec dociera do porcelanowej twarzy, pod nim pojawia się chłodna gładź, opuszek rejestruje ciężar postaci i powolutku przesuwają się w dół, czując zaokrąglenie podbródka i krawędź muszliny okrywającego korpus z lekko zarysowaną pierś.

Nagle otwierają się drzwi i staje w nich hrabina. Cofam gwałtownie rękę. Ona dostrzega mój gest. Na sekundę zastyga w bezruchu. Serce mi łomocze. Jeśli pomyślała, że chcę ukraść tę lalkę, może nastąpić coś strasznego. Ale ona robi kilka szybkich kroków, podchodzi do mnie i dosyć szorstko mówi:

- To wszystko, możesz iść.

Chcę coś powiedzieć, lecz nic mi się nie składa w zdanie. Kłaniam się niezdarnie, udaje mi się wykrztusić „do widzenia, pani hrabino”, otwieram ciężkie drzwi i wychodzę. Zeskakuję ze schodów. Zaczynam biec. Biegę coraz szybciej przez dziedziniec, czując i radość, i upokorzenie. Chcę mi się śmiać i płakać jednocześnie.

Kiedy wpadam w aleję, słyszę za sobą klakson. Podekscytowany przeżyciem z pałacu, nie zwracam na niego uwagi. Dźwięk się powtarza. Dociera do mnie warkot silnika. W ostatniej chwili uskakuję w bok. Czarny Citroën, jedyny samochód w całej okolicy, mijając mnie, prawie ociera się o moje plecy. Kierowca grozi mi pięścią. Na tylnej kanapie siedzi nieporuszony hrabia Rakowski. Na głowie ma melonik. Z alei wóz skręca w prawo i wjeżdża na drogę

do Rypina, Za nim ciągnie się tuman kurzu. W tym opadającym obłoku obraz rozmazuje się i znika.



**Odsłaniam oczy.** Przez dłuższą chwilę zakrywałam je rękoma wspartymi łokciami o blat. Widzę wnętrze biura. Jestem w nim sama.

Poprawiam kokardę wpiętą w dwa splecione razem z tyłu głowy warkocze. Przez moment zastanawiam się, czy to dla mnie nie nazbyt dziewczęca fryzura. Marlena Dietrich takiej nie nosiła. Ani Zarah Leander. Marleny, odkąd opuściła Rzeszę, w niemieckich gazetach nie pokazują, a inne do nas nie docierają. Natomiast Zarah...

Na mankiecie białej bluzki dostrzegam niewielką szarą smugę. Pewnie otarłam go o zakurzoną teczkę z dokumentami. Próbuję zetrzeć, ale szarość trzyma się bieli.

Dobrze, że to już schyłek dnia. Czas pracy skończy się za kwadrans. Papiery pozbierane, miejsce pracy uprzątnięte. Siedzę i porządkuję w myślach wszystko, co wydarzyło się od rana.

Początek dnia. Wychodzę z domu. Majowe poranne słońce mocno przygrzewa. Kilkadziesiąt metrów przede mną widzę Janka Stelmacha. Mieszka niedaleko. Też pracuje w urzędzie gminy, ale staramy się nie chodzić do pracy razem. Zwykle rano, przed wyjściem, kilka razy wyglądam przez okno, sprawdzając, czy już przeszedł. A jeśli wychodzę przed nim, najpierw z ganku spoglądam w drugą stronę, by zorientować się, czy akurat nie nadchodzi. Gdy nie ma go w pobliżu, opuszczam dom.

Jestem w urzędzie na czas. Jak każdego dnia. Bachmann też, jak zwykle, przyszedł jeszcze wcześniej. Z plebanii, gdzie zajmuje mieszkanie po wypędzonym katolickim księdzu, ma bliżej do pracy niż ja. Ledwie odkładam torebkę i rozkładam papiery, otwiera drzwi i mówi:

- Panno Kulm, proszę do mnie.

Wstaję i mówię grzecznie:

- Tak, panie amtskommissar.

Wchodzi pierwszy do swojego gabinetu i każe mi siadać.  
Pyta, jak idzie mi praca.

- Radzę sobie - odpowiadam.

Stuka ołówkiem o blat biurka.

- Panno Elfrido, proszę powiedzieć, co pani sądzi o tym naszym pracowniku, Janie. To Polak. Od dawna pani go zna?

- Od dzieciństwa. Chodziliśmy razem do szkoły w Lipianach...

Patrzy na mnie groźnie.

- ...przepraszam, ale wtedy tak się nazywała nasza wieś, obecnie Lindenschanz. Z tym że on do starszej klasy.

Macha ze zniecierpliwienia ręką.

- Można mu zaufać?

Bachmann jest komisarycznym wójtem Lindenschanz od dwóch miesięcy, odkąd poprzedniego wzięli do Wehrmachtu. Przysłali go podobno z Dolnego Śląska.

Dotychczas ani razu nie zapytał mnie o zdanie w jakiegokolwiek sprawie.

- Pana poprzednik miał o nim dobrą opinię - mówię ostrożnie.

- Ale ja pytam panią!

Jest nerwowy. Łatwo się irytuje. Ma słaby wzrok i co chwila potrząsa głową. Pewnie dlatego nie został esesmanem ani żołnierzem.

- Nie wiem, czy powinnam się w takich sprawach wypowiadać - mówię, spuszczaając wzrok.

- Jest pani Niemką i powinna! My, Niemcy...

Słyszymy, że Janek otwiera drzwi pokoju, w którym ma biurko.

- My, Niemcy - Bachmann obniża ton - musimy być czujni. Muszę go trzymać w pracy, bo w tej wsi nie znajdę nikogo na jego miejsce, ale on przecież nawet nie wpisał się na volkslistę. Dlaczego?

- Nie rozmawiamy w pracy na takie tematy, panie amtskommissar - mówię.

Opiera łokcie o biurko.

- Słyszała pani o tej biednej dziewczynie? Żeby już młoda Niemka nie mogła spokojnie przejść, bo czyha na nią to bydło! Tatuś na pewno wspominał wczoraj, co się wydarzyło nad strugą...

- Ojciec nie ma w zwyczaju opowiadać w domu o tym, co się dzieje na służbie.

- Dobrze już, dobrze. Nie o to chodzi. Poprosiłem panią, panno Kulm, ponieważ postanowiłem dokonać pewnej zmiany w naszym urzędzie. Od dziś będziecie pracować z tym Polakiem w jednym pokoju. Co prawda to zwykły pracownik biurowy, a pani jest niemiecką urzędniczką z pełnymi prawami i może poczuć się urażona, że taki ktoś zajmie sąsiednie biurko. Ale proszę zrozumieć. Polak nie może pracować sam! I właśnie dlatego ta zmiana. Pokój, w którym teraz pracuje, przeznaczymy na inne cele.

- Jak pan każe.

- Będzie pani mieć go na oku. Gdyby zauważyła pani coś podejrzanego, proszę niezwłocznie meldować.

- Ależ panie wójcie...

- To jest polecenie służbowe, panno Kulm! Będzie to należeć do pani obowiązków. Musimy mieć się na baczności. Sama pani widzi, do czego oni są zdolni. Żeby porządna niemiecka dziewczyna...

Nagle jego surowa twarz łagodnieje. Rozpiera się wygodniej na krześle i rozluźnia mięśnie twarzy, co sprawia, że wydaje się przez chwilę nieco sympatyczniejszy.

- A przy okazji, panno Elfrido, proszę wybaczyć to pytanie, jeśli jest zbyt osobiste. Czy nie myśli pani czasem o zamążpójściu?

Czuję, jakby niespodziewanie dał mi bolesnego kuksańca.

- Czy muszę odpowiadać?